

# Kronika tygodniowa.

Nowocześni meteorologowie, referenci tych spraw w pismach codziennych, są na błędnej drodze, nazywając pogodę i ciepło z ubiegłego tygodnia „babie lato”. Do 24. września mamy jeszcze lato astronomiczne, na „babie” przyjdzie czas później. Zresztą towarzyszyć mu muszą pajęczyny, stanowiące cechę charakterystyczną „babiego lata”, a tych dotąd nie widzieliśmy, choć słysząc to i ówdzie, że ich wogóle nie zobaczymy, gdyż zostały w drodze urzędowej zarekwirowane na pokrycie zapotrzebowań ogółu. Mianowicie udało się podobno z pajęczyn sporządzić bardzo delikatną a trwałą tkaninę, która może bardzo dobrze zastąpić sukno, tak dziś drogie, iż o kupnie nowego ubrania, nie z wełny bynajmniej, ani nawet z bawełny, ale z naszych pokrzyw sporządzonego, ani myśleć. Pajęczyna ma zresztą to do siebie, iż tkanina z niej sporządzona jest bardzo delikatną i ułatwia transpirację skóry, co z higienicznych względów jest wskazane, nie jest też tak czuła podobno na wilgoć, jak włókno pokrzywy. Ubrania z pajęczyny dotąd nie miałem, niedawno natomiast zafundowałem sobie okrycie cielesnej powłoki z pokrzyw i skonstatowałem na własne oczy, iż, pod wpływem kropli dżdżu, jakim nas wówczas zupełnie niepotrzebnie niebiosa uraczyły, nogawice „niewymownych”, sięgające przedtem do pięt, sięgały potem tylko po kolana, w równej mierze uległa skurczeniu także i marynarka. Chciałem z tego powodu zrobić awanturę kupcowi, który mi za drogie pieniądze sprzedał podobną, jak się wyraziłem delikatnie „lichotę”, ale on zamknął mi usta, nim miałem je czas otworzyć, pytając naiwnie:

— Pan dobrodziej może był w tem ubraniu na deszczu?...

Tem odezwaniem się rozbroił mnie zupełnie, a gdy mnie jeszcze przekonał, że teraz mam za tanie pieniądze kosztowny sportowy (pocciwy, nie żądał za to skurczenie się i następującą po niem metamorfozę żadnej dopłaty!), przypomniałem mu zupełną rację.

— Pan kochany zapewne grywa w piłkę nożną? — zapytał mnie na odchodnym. — Akurat ten kostium do tego celu się nadaje!... Ja sam innego nie używam! Musiał pan czytać w *Kuryerku*, że kiedyś strzeliłem bramkę!...

— A strzelaj pan sobie, jeśli się panu to podoba. Skąd ja jednak przychodzę do tego, bym wyrzucał na ulicę pieniądze? — broniłem się jeszcze z uporem.

— To nie jest bynajmniej żadne wyrzucanie! — odpowiedział. — Muszę panu dobrodziejowi powiedzieć, a, że mówię prawdę, daję na to moje kupieckie słowo, że jest panu w tem ubraniu nadzwyczaj do twarzy!... Proszę tylko spojrzeć do lustra z przodu lub z tyłu...

— Ani mi się śni!...

— Zresztą — tu wygrał już ostatni atut i na to mnie wziął ostatecznie — teraz coraz cięższe czasy. Chudniemy wszyscy, więc też i dobrze się stało, że się ubranie skurczyło, gdyż w przeciwnym razie wiślabo na dobrodziej, jak, nie przymierzając, na kołku, a ja musiałbym się wstydić, że to wyszło z mego składu!...

Ubrania natomiast z pajęczyny mają mieć tę wyjątkowość nad zrobionymi z pokrzyw, iż nie będą się tak kurczyć, choć i „pokrzywowe” mają swoje dobre strony.

Niedawno spotkałem pewnego dziennikarza, więc kolegę po piórze, i w ciągu rozmowy zauważyłem, iż od pewnego czasu artykuły jego cechuje pewna doza złośliwości, dawniej mu obca.

— Hm! Nie dziwnego, mój drogi! — Mam ubranie z pokrzyw, a wiadomo, że ono wywiera swój wpływ, dotąd nieokreślony nankowo, stale i na organizm cały, który w niem tkwi!...

Jeśli to ma być prawda, pomyślałem, w takim razie jestem ciekawy, jaki wpływ wywiera na nas ubranie, zrobione z pajęczyny. Pająk, jak wiadomo, to stworzenie bezwzględne, chciwe, podstępne i żarłoczne, jeśli byśmy więc mieli pójść w jego ślady, to ładnie wyglądałby świat i tak dziś już wiele do życzenia pozostawiający, choć dodzieramy ubrań, sporządzonych z wełny niewinnych owieczek i potulnych baranków!

Zgłosiła się też do mnie jedna z Czytelniczek, stara panna, hodująca w słoiku pajaka, który jej wyściaga numery loteryjne (dotąd jeszcze nic nie wygrała...), z zapytaniem, czy materyja z pajęczyny nie będzie przypadkowo zbyt przejrzysta. Jeśli nie, w takim razie ona gotowa jest zupełnie bezinteresownie oddać swego „pajęczka” dla wygody i pożytku ogółu. Pociążyłem ją, że te ubrania z pajęczyny to prawdopodobnie taki sam humbug, jak ów endowny środek spożywczy, który gdzieś tam zaczęto już fabrycznie nawet wyrabiać, ale widocznie rozdział jego objęła jakaś centrala, skoro go dotąd nie widać.

Dajmy temu przecież spokój, bo już kronikarz się myli?... Widzę że owa pajęczyna, choć „babiego lata” jeszcze niema, zbyt daleko mnie uniosła, zawiadam też z drogi, zastrzegając sobie na właściwy czas zabranie głosu w tej sprawie. Mam na myśli „babie lato”, gdzieś w początkach października, jak to było po inne lata. Kobiety nie darowałyby, gdyby miały być ukrócone w swych prawach. Miały zawsze swe „lato”, muszą mieć je i teraz, choć wojna.

Myli się także ów meteorolog, który na karb „babiego lata” kładzie naprzykrzenie się much rodzajowi ludzkiemu. W ten sposób postępują muchy z zasady przy końcu każdego lata astronomicznego, chcąc użyć na naszych łysinach przyjemności, zanim zapadną w sen zimowy, podczas którego, szczęśliwie, obchodzą się bez jedzenia, picia, opału i t. d.

Tego im można naprawdę pozazdrościć, choć znów z drugiej strony powinien człowiek być zadowolony, iż ma tylko dwie nogi, a nie sześć, jak mucha. Ładnie wyglądałby ojciec rodziny, mający kilka osób zaopatrzyć w obuwie... Dziś, gdy mamy tylko po dwie nogi, z taką to przychodzi trudnością, a cóż dopiero byłoby wówczas!... Aż się człowiekowi zimno robi na samo wspomnienie!

Wkońcu w ubiegły piątek mieliśmy popołudniu tak miłą pogodę, połączoną z wiatrem, kurzem i t. d., że niewiasty powinny się obrazić na tego, kto ten odcinek czasu poważył się nazwać „babie lato”.

Zapytywano mnie z kilku stron o me cenne zdanie, z jakiej platformy (nie wiem tylko, politycznej, czy artystycznej) zapatruję się na kwestję pomnika Kościuszki w Krakowie.

Stuletnia rocznica zgonu Naczelnika przypominała Krakowiakom, iż w gościnnych murach Strażnicy pożarnej czeka „na lepsze czasy” pomnik, ale doczekać się ich nie może.

Już to przynależało, że Kraków wogóle nie ma szczęścia do pomników. Najmniej kłopotów było z pomnikiem Jagiełły, ale to tylko dlatego, iż znalazł się wspaniałomyślny ofiarodawca, który pomnik kazał zrobić swoim kosztem i na swój koszt go postawił, gdyby bowiem i ta „pomnikowa sprawa” miała była pójść zwykłą drogą komitetów, komisji i ankiet, z pewnością realizacji doczekałaby się w dniu... sześćsetletniej rocznicy zwycięstwa grunwaldzkiego, jeśli nie później! Pamiętamy przecież, ile to zmartwień miał Kraków z pomnikiem Mickiewicza, jak długo czekał i dotąd cierpliwie czeka na pomnik Kazimierza Wielkiego, na co, o ile się nie mylę, jeszcze ś. p. dr. Warschauer rozpoczął zbierać fundusze.

To przynajmniej dobre, że pomnik Kościuszki już jest gotowy, ale to już w bieda, iż Krakowiacy nie mogą się na to zdecydować, czy go wogóle postawić, a jeśli już tak musi być, to gdzie?... Jedni mówią, że jedynym dlań miejscem jest Rynek główny, inni są zdania wprost przeciwnego i radzi widzieliby go tam, skąd go wogóle nie będzie widać, więc, dajmy na to, na szczycie kopca. Są nawet tacy, którzy utrzymują, że na podwórzu koszar Straży ogniowej jest mu bardzo dobrze i wygodnie, gdy natomiast na Rynku psułyby tylko harmonię konserwatywną i dziwnie odbijałyby na przykład od stylowego komina na odwachu. Projektu jakiegoś humorysty, by go umieścić na szczycie wieży ratuszowej, dotąd nasi estetycy poważnie nie wzięli w rachubę, choć byłoby to, moim zdaniem, jedynie racjonalnym rozstrzygnięciem tego „pomnikowego węzła”. Pomnik byłby *de facto* na Rynku, ale równocześnie także nie byłoby go, a o to właśnie chodzi, by nie zabierał niepotrzebnie miejsca, przeznaczonego na pomniki dla współczesnych wielkości, dla których jedynie Rynek mógłby być odpowiednim, choćby tylko z tego powodu, iż dzięki im jedynie wybrukowano go, wyasfaltowano, odrutowano.

A może udałoby się zadowolić i jednych i drugich, a to w ten sposób, że pomnik zaopatruje się w kółka i przewozić go będzie z miejsca na miejsce, w miarę tego, kto byłby w danej chwili „przy głosie”.

Widać też z tego, że Kraków ma już dość pomników i powiada sobie: „Te, które są, najzupełniej mi wystarczą”.

Niechaj się jednak nie obawiają ci, którzy ze względów politycznych radzi byłiby, jeśli już muszą koniecznie widzieć ten pomnik to, o ile możliwości jak najdalej. Konserwatywnej patynie Rynku krakowskiego nie on nie zaszkodzi, na zbytnie podniecenie i rozbudzenie ducha narodowego nie wpłynie, bo duch ten już dawno rozbudzony, choć oni go gasić chcieli. Także nie mogą tu wchodzić w rachubę względy estetyczne, skoro nie kierowano się nimi przy budowie kamienicy „cukierkowej” pana Czynciela, lub domu, gdzie się mieści kawiarnia „Secesja”. Wówczas panowie estetycy i konserwatorowie zachowali głęboką milczenie.

Ogół Krakowiaków pragnie widzieć pomnik Kościuszki na Rynku i tak się też stać powinno bez oglądania się na rozmaite „ewakuacyjne” projekty. Kraków prze-

stał być już twierdzą, z mora ewakuacji przestała grozić ludziom, niechaj więc nie dokuca i pomnikom.

By na dzień obchodu stuletniej rocznicy zgonu Naczelnika pomnik mógł się znaleźć już na swym miejscu, o tem i marzyć nie można, ale w każdym razie powinno się to stać już w najbliższej przyszłości, o ile znów, po usunięciu szczęśliwym innych przeszkód, nie wyłonią się nowe, natury... finansowej. Bo to u nas tak się już zwykle dzieje, że pieniądze są na to, co niepotrzebne, brak ich zaś tam, gdzie są naprawdę konieczne.

Sprawę „pomnikową” uważam więc w ten sposób za omówioną należycie i nie zgrywam się bynajmniej, jeśli ktoś z P. T. Czytelników jest innego zdania, bo i ja, przyznam się szczerze, z większym zainteresowaniem czytałbym dziś artykuł, na przykład, o ułatwieniu abonamentu w miejskich knuchach wojennych, niż narzekania prasy na utrudnienia przy nabywaniu biletów abonamentowych na premiery w Teatrze miejskim. Czytam jednak, skoro to wydrukowano i nie nie mówię, niechaj więc w ten sam sposób postępują ci, którzy w sprawie pomnika ze mną się nie zgadzają.

*Quot capita, tot sensus!*...

Ponieważ dawno już nie zajmowałem się dniami beznamiętnymi, dziś postanowiłem to uczynić ze względu na okoliczność, iż zapowiadają rzekomo zupełne ich zniesienie, a zaprowadzenie natomiast drugiego dnia beztłuszczowego w tygodniu. Wtajemniczeni w *arcana* kuchenne twierdzą wprawdzie, że w najbliższej już przyszłości wogóle tłuszczy nie będzie i zaopatrują się w nie na gwałt, ja przecież w to nie wierzę i z tego powodu zapasów na czarną godzinę nie robię.

Zniesienie dni beznamiętnych, to dowód, że mamy dość bydła, przeznaczonego na rzeź, jeżeli tak jednak jest w istocie, to może to być tylko następstwem braku paszy. Nie mogąc bydła hodować, sprzedaje się je pod nóż, następstwem czego musi być w niedalekiej znów przyszłości zaprowadzenie napowrót dni beznamiętnych, ale siedm razy w tygodniu. Wtedy to braknie i tłuszczy, gdyż, na razie przynajmniej, nie potrafimy ich jeszcze wytwarzać z powietrza.

Wojna nauczyła nas jednak tyłu już rzeczy, że nauczy bezwzględnie i obchodzenia się bez mięsa i tłuszczy, możemy więc z otuchą spoglądać w przyszłość i czekać...

Ale na co?... Tego sam nie wiem, bo w koniec wojny już wierzyć przestałem. Wprawdzie coraz częściej czytamy teraz o różnych projektach pokojowych, słowo zaś „pokój” powtarza się stale we wszystkich przypadkach i obu liczbach na szpaltach naszych pism politycznych, iż można żywić nadzieję, że Marsowi sprzykrzyło się już panowanie nad światem, ale również dobrze może to być przygotowaniem do czegoś zupełnie przeciwnego. Siódma pożyczka wojenna jest niedaleka, nie natomiast nie słysząc o pożyczce pokojowej, która dla każdego byłaby bardziej sympatyczną.

Tak, czy owak będzie, w każdym razie zda nam się na coś doświadczenie, jakiego nabyliśmy w wojennym czasie. Dowodem tego ów złodziej, który we Wrocławiu, przy wykonywaniu swego zawodu posługiwał się najnowszymi wynalazkami wojennymi, używał bowiem, kradnąc gęsi i świnię, gazów odrzucających z zupełnie dobrym rezultatem, choć wkońcu sam się dostał do ula. Atak gazowy powiódł mu się zupełnie, ale widocznie wybrał sobie nieodpowiedni „odeinek” skoro dosięgła go ręka karzącej sprawiedliwości, która, aczkolwiek przedstawia się ją z zawiązanymi oczyma, widzi przecież dobrze, choć prawdę rzekłszy, nie zawsze...

A czy nie przyda nam się taki, dajmy na to, wynalazek wojenny, jak fabrykowanie prawdziwej kawy cejlońskiej z palonego łubinu, czego na wielką skalę dokonywano w Tarnowie. Niestety, i tu Temida miała coś do powiedzenia, zamykając poszczególnych spekulantów i nakładając na nich dotkliwie grzywny. Narzekają też teraz, że są oni męczennikami w imię... przemysłu krajowego.

A takich „męczenników” jest całe zatrzęsienie i byłoby bardzo wskazane, by wszyscy znaleźli się tam, gdzie „cierpieli” ich tarnowscy koledzy i koleżanki, bo i pleć nadobna była też między nimi reprezentowaną.

Na zakończenie, bardzo radosna wiadomość, ale bynajmniej nie o pokoju, jak się tego może P. T. Czytelnicy spodziewają, ale o... zmniejszeniu się nasilenia czerwoności w Krakowie.

Tak nas przynajmniej zapewnia oficjalne zawiadomienie miejskiego Urzędu zdrowia (raczej chorób wszelakich...).

A kto jej dał radę?... — spyta kto może... Jeżeli myślicie, że fizykat, to jesteście w błędzie. Dogodził jej jakiś były sługa z Hotelu Europejskiego, lekarz cudotwórca, jak się przekonałem z podziękowań, zamieszczonych w *Kuryerku*...

